

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

4

— Karolu — przemówiła Emmelina i urwała. Ta kobieta niewątpliwie dziwny ca mnie wywierała wpływ. Samotna to była dusza, niezwykła w niej ta mieszanina pierwiastków najbanalniejszych, konwencyonalnych i czegoś wręcz przeciwnego, czegoś dziwnego, niepokojącego i niezrozumiałego. Czulem dla niej sympatyę.

— No co? — szepnąłem.

— Czy ty wierzysz w świat nadprzyrodzony?

— Ani wierzę, ani nie wierzę — odpowiedziałem — gdyż nigdy nie spotkało mnie nic, co by było tego rodzaju zjawiskiem. Ale to ci mogę powiedzieć, że nie jestem skończonym i zatwardziałym materyalistą.

I dodałem jeszcze:

— A ty czy wierzysz?

— Naturalnie — odrzekła krótko.

— A więc, skoro naprawdę wierzysz, skoro dla ciebie jest to rzecz poważna, dlaczego robisz z tego widowisko dla żartownisiów?

— Ach! — westchnęła — wielu z nich mnie gniewa. Lubią się bawić w stosunki z nadprzyrodzonym światem. Ale pomyślałam, że to robi dobry efekt na tem przyjęciu Sullvana. Sullivanowi bardzo na tem zależy, żeby się to pierwsze nasze wielkie przyjęcie udało. Mówi, że się musimy reklamować.

To wyjaśnienie powodów dane było tak naiwnie, tak szczerze i tak prosto, że nie mogłem się oburzać.

— Gdzież jest kryształ? — zapytałem.

— Tu — rzekła — przysuwając szklaną kulę, tak nagle, że to wyglądało na czary, z nieoświetlonej części stołu w obręb jasnego owalu. Deskonale okrągłą kulę musiała ręką przytrzymać, gdyż na gładkiej powierzchni stołu nie chciała się utrzymać.

— A więc to to? — zauważyłem.

— Karolu — rzekła — powinnam cię przestrzedz. Parę tygodni temu, ujrzałam w kryształach twarz mężczyzny, którego wtedy nie znałam. Widziałam go potem znowu, a zawsze w związku z tą samą sceną. Później poznałam ciebie na przedstawieniu opery w przeszłym tygodniu... Czy zauważyłeś może, że owego wieczoru trochę dziwnie się zachowywałam?

— Zauważyłem — odrzekłem.

— Ty jesteś tym mężczyzną, który mi się ukazał w kryształach.

— Doprawdy? — zawołałem, uśmiechając się, a przynajmniej starałem się uśmiechnąć. — I jakżeż się przedstawia scena, w której mój obraz gra rolę?

— Ty stoisz... Ale nie, wolę nie mówić...

Urwała nagle, odkaszlnęła i wielkie swoje oczy utkwiała we mnie. Z poza drzwi dolatywały dalekie dźwięki orkiestry i urozmaicony gwar wielkiego tłumu. Jednakże ten ciemny pokój z jaskrawą, owalną plamą światła odcięty był od wesołego widowiska zewnątrz. Mimowolny dreszcz przebiegł po mnie i nie mogłem spokojnego wzroku dotrzymać na twarzy tej wysokiej, milczącej kobiety, która na mnie tak przejmujące czyniła wrażenie. Czekałem, czy nie powie czegoś więcej; wreszcie po dłuższej przerwie przemówiła:

— Czy ty się nie boisz? Powiedz!

— Nie boję się, naturalnie.

— W takim razie patrz się w kryształ i staraj się zobaczyć to, co ja widziałam. Ja ci nie powiem. Ty sam staraj się zobaczyć. Może ci się uda, jeśli ci dopomogę. A teraz wypędź z duszy wszelkie inne myśli i patrz ze skupieniem... Patrz!

Przysunąłem ku sobie kryształową kulę.

— Głupstwo! — mruknąłem cicho sam do siebie.

I chciwie zatopiłem wzrok w głąb kuli kryształowej, pełnej dziwnych, błyskających światła... Ale niczego dojrzeć nie mogłem.

— To na nic! — rzekłem — będziesz mi musiała powiedzieć, coś tam widziała.

— Cierpliwości... Jeszcze czas. Popatrz jeszcze. Ujmij moją rękę w twoją prawą rękę.

Usłuchałem i siedzieliśmy tak oboje w napięciu milczenia. Po jakich paru minutach kryształ jakoby pociemniał, a potem się znowu rozjaśnił. Drżałem nieswój jakiś i pełen trwożnego oczekiwania.

— Ty coś widzisz — szepnęła mi smutno do ucha.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — odpowiedziałem. — ale to nadchodzi... Tak, widzę siebie i... i... jakąś kobietę... bardzo piękną kobietę. Ja trzymam jej rękę.

— Czy ty nie poznajesz tej kobiety?

Głos Emmeliny znów jak skarga łzawa, zadrżał w moich uszach. Poznałem, kim jest ta kobieta i pot wystąpił mi na czoło.

— To Rozetta Roza!

— I co więcej widzisz jeszcze? — głos pytającej badał nielitościwie.

— Widzę twarz jakąś za nami — wyjąkałem — ale co to za twarz, tego nie mogę rozróżnić... Grozi mi ta twarz!... Grozi mi!... To coś strasznego... To mnie zabije! Ach!...

Zerwałem się gwałtownym ruchem. Kula kryształowa, nieprzytrzymywana, stoczyła się ze stołu na podłogę i z głuchym stuknięciem padła na miękkie kobierce. Styszałem podniecony oddech Emmeliny.

W tejże chwili rozsunała się podwójna kotara i ktoś stanął w czerwonym świetle japońskiej latarni.

— Czy jest tutaj pan Foster? Chciałabym go zabrać — mówił jakiś głos. A był to głos Rozetty Rozy.

Tuż za nią stał Sullivan.

— Domyślałem się, że ty tu jesteś — roześmiał się mój kuzyn.

Rozdział V.

Przesuwałem się z Rozettą Rozą przez tłum ku wyjściu. Porozmawiała chwilę z Emmeliną, która aż pobladła z zadowolenia wobec szczerej uprzejmości jej tonu; potem pogawędziła jeszcze wesoło z samym Sullivanem. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem piękności jej i jej wdzięku, a już ja pewnie najbardziej. Wkońcu jakoś tajemniczo poprosiła mnie, bym ją odprowadził do karety.

Teraz, czując rękę jej, opartą na mojem ramieniu, zupełnie nie mogłem uwierzyć, by ona jakbądź w zły sposób oddziaływać mogła na przyszłe moje losy. Śmieszne wydawało się, iżby ona stać się mogła niebezpieczeństwem mojego życia. Była przecież wcieleniem dobroci i prostoty. Nie było w jej istocie ani cienia złowieszczej grozy, a przytem, przy całej swej nadzwyczajnej piękności i wdzięku, była uosobieniem zwykłej codzienności. Muszę to powiedzieć, choć to może w oczach niejednego zmniejszy jej urok. Była uosobieniem zwykłej codzienności, gdyż stale robiła wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z wyższości swego talentu. Nie przygniatał on jej swoim ciężarem, tak jak przyniósł wielce wybitnych artystów. Lekko nosiła ten dar nieba, na pozór nieświadoma, że go posiada. I tak niktby nie odgadł, że tegoż wieczora odniosła na scenie opery niesłychany tryumf w najwspanialszej swojej roli, w roli *Szoldy* w *Trystanie*.

To też obecność jej przy moim boku ukoili prawie natychmiast zaniepokojenie moje. Odczuwałem władzę jej nad sobą, lecz nie obawiałem się, by władza ta mogła stać się zgubną.

— Panie Foster — przemówiła — poprosiłam, byś mnie pan odprowadził do karety, ale ja właściwie o coś więcej chcę poprosić. Chcę prosić pana, byś pojechał ze mną do biednego Alreski. Stan jego poprawia się stale, ale biedny człowiek wpadł w zupełne przygnębienie. Odwiedziłam go dziś po południu i on mnie prosił, ażeby, jeżeli pana dziś wieczór zobaczę, przywiozła pana do niego. Chce on panu uczynić pewną propozycję, której, mam nadzieję, że pan nie odmówi.

— W takim razie przyjmuję ją z góry — odpowiedziałem.

Wyciągnęła maleńki złoty zegareczek, wysadzany brylantami.

— Jest teraz wpół do drugiej — rzekła. — Możemy tam być za dziesięć minut. Panu chyba to nie przeszkadza, że to już tak późno? My śpiewacy, jak pan wie, mamy inne godziny.

Musieliśmy zaczekać w foyer, dopóki nie zawołano karety. Stałem obok niej cichy i zamyślony, przejęty szczęściem i dumą, że wolno mi jej towarzyszyć. Ubrana była jasno popielato, miała na sobie obszerny płaszcz, podbity gronostajami i nie nosiła innych klejnotów, oprócz małego, drogimi kamieniami wysadzanego sztyliczku w pięknych włosach.

Nagle ujrzałem rumieniec na twarzy Rozetty; idąc w kierunku jej oczu, spostrzegłem Sir Cyryla Smart, którego przestraszony wzrok spoczywał na jej twarzy. Oprócz lokajów i personelu hotelowego, zaledwie kilka osób znajdowało się w tej chwili w wielkiej wchodowej sieni. Sir Cyryl był prawie tak blad, jak marmur podłogi. Zrobił krok naprzód i stanął. I ona także, zdawało się, że mimowoli posunęła się ku niemu.

— Dobry wieczór, Miss Roza — przemówił wkońcu, składając sztywny ułkon. Odpowiedziała na pozdrowienie i znowu, milcząc, patrzyli na siebie. Nie rozumiałem ich zachowania.

Wtedy Roza powoli i z namysłem sięgnęła ręką

do włosów i wyciągnęła drogimi kamieniami wysadzany sztyliczek.

— Sir Cyrylu — przemówiła — ta mała broń, zdaje się, urzekła pana? Czy ją pan poznaje?

Ani odpowiedział, ani się poruszył, ale zauważyłem, że ręce konwulsyjnie zacisnął.

— Czy pan to poznaje, Sir Cyrylu?

Nareszcie skinął głową.

— Więc weź go pan. Oddaję panu ten sztyliczek. Dziś wieczór, w tej chwili zrobiłam odkrycie, że po mnie masz pan do niego najbliższe prawo.

Otworzył usta, chcąc mówić, ale nie wydał głosu.

— Patrz pan! — rzekła — to prawdziwy sztylet, ostry i kłujący!

Szybkim ruchem odrzuciwszy płaszcz, już miała naciąć skórę na lewym ramieniu pomiędzy długą rękawiczką a rękawem wyciętej swej sukni, lecz Sir Cyryl i ja poskoczyliśmy, by ją wstrzymać.

— Nie czyni pani tego! — rzekłem. — Może się pani skaleczyć!

Spojrzała na mnie, gniewna przez chwilę; gniew jej jednakże przeszedł w lodowaty uśmiech.

— Proszę to przyjąć, Sir Cyrylu, dla dogodzenia mi, proszę przyjąć.

Powiedziała to z dziwnym naciskiem.

I Sir Cyryl przyjął z jej ręki sztyliczek.

Zameldowano karete.

Skinąwszy na mnie; Roza wyniosłym ruchem zaczęła zstępować po schodach. Już teraz nie było uśmiechu na jej twarzy, lecz wyraz skupiony, zamknięty. Sir Cyryl stał, jak skamieniały, trzymając w rękę sztyliczek.

Konie Rozy uwiozły nas szybko od wrót wielkiego hotelu. Zdawało mi się, że Roza pragnie zapomnieć lub zatrzeć wrażenie całego tego dziwnego zajścia. Przez chwilę siedziała milcząca, z pochyloną głową i nic nie zdradzało jej wzruszenia, tylko piersi jej falowały przyspieszonym oddechem.

Wiedziony dyskrety, nie starałem się nawiązać rozmowy, by nie przerywać jej myśli; wydawało mi się bowiem, że scena, której świadkiem byłem co dopiero, musiała być nagle jakimś i strasznym przejściem nie tylko w życiu Sir Cyryla, ale i w życiu tej pięknej, w ciemności obok mnie siedzącej dziewczyny.

Niedaleko jeszcze zdążyliśmy ujechać, gdy ona spojrzała na mnie i roześmiała się.

— Myślę — rzekła — że lekarz nie na każdą chorobę może mieć lekarstwo.

— Nie na każdą — odpowiedziałem.

— I młody lekarz także nie? — dodała z zabawną powagą.

— I młody lekarz także nie — odpowiedziałem poważnie.

I roześmialiśmy się oboje.

— Niech pan wybaczy ten żart — mówiła dalej — lecz nie umiem nie żartować, zwłaszcza gdy mi na duszy ciężko...

— Kogo pani miała na myśli, stawiając mi to pytanie? — badałem.

— Myślałam o Alresce — szepnęła — o moim biednym Alresce. To najszlachetniejszy człowiek i wielki artysta... i cierpi...

— Trudno — odpowiedziałem — złamanie nogi, to nie drobnostka.

— Nie o nodze jego mówię. Co innego mam na myśli.

— Co takiego?

Potrząsnęła głową na znak, że nie umie na to odpowiedzieć.

Tu muszę nadmienić, że na drugi dzień po wypadku wzięłem dorózkę i kazałem się zawieść do mieszkania Alreski. Tuż przed moją dorózką jednak zajęchała inna dorózka i ujrzałem, że wysiada z niej profesor Mac Whirter. Znakomity chirurg widocznie, pomimo danych mi wskazówek, uważał sławnego tenora za swego pacjenta. Trudno mi przecież było spierać się z nim o to, więc też natychmiast zawróciłem. Dlatego dotąd, od dnia wypadku, nie widziałem już chorego.

— Czy wolno mi zapytać, w jakim celu pan Alreska chce się ze mną widzieć? — zapytałem ostrożnie.

— On sam to panu powie — odpowiedziała Roza niemniej ostrożnie.

Nastąpiło milczenie.

— Czy pan sądzi, że ja owego wieczoru byłam powodem szkodliwego dla niego wzruszenia? — zapytała.

— Jeżeli mam być szczerym, to powiem, że tak...

— I sądzi pan, że źle postąpiłam?

— Tak sądzę — odpowiedziałem.

— Może ma pan słuszość — przyznała.

Byłem odważnym w mojej szczerości. Zebrałem się na jeszcze większą odwagę.

— Pani mówi, że on jest przygnębiony — rze-